Dożywotnio skazany na Polskę



Winicjusz Gurecki

28 czerwca 2019 roku zmarł w Mississaudze (Kanada) Winicjusz Gurecki – poeta, działacz Solidarności. Miał 80 lat.

Wojciech Piotr Kwiatek

W moich wierszach słowiczek nie
śpiewa,

Żadne dziecko się w nich nie
zaśmieje,

Bo mym piórem- twarda rzeczywistość,

Atramentem – zdeptane nadzieje.

Tak napisał w jednych ze swych wierszy Winicjusz Gurecki, działacz „Splidarności”, od 1987 roku przymusowy emigrant (paszport w jedna stronę!) na kanadyjskim bruku, opisując lakonicznie i swój poszarpany polski los i swoją sytuację psychiczną. Jak jego typowa dla tamtego pokolenia biografia, tak i wiersze z tomiku „Smugi cienia” dzielą się na dwa okresy: polski i emigracyjny. Ten pierwszy jest polityczny, dramatyczny i „zdarzeniowy”, ten drugi jest – refleksyjny i egzystencjalny. Ale i w jednym i w drugim powstały dobre, chwilami daleko odbiegające od „patriotycznego sznytu” wiersze, w których chodzi o coś więcej niż tylko kombatanckie „noszenie sztandaru”, krzepienie ducha, umacnianie woli walki z „czerwonym”, ciągłe

odbudowywanie słabnącej chwilami nadziei. Gdy Gurecki napisze:

> Za broń całą dziś musi nam starczyć
>
> Myśl ukryta i trochę bibuły (…)
>
> (Przeznaczenie)

Słychać tu nie tylko dramat prześladowanego, wyzutego z życia i nadziei solidarnościowca, ale i gorycz „człowieka zredukowanego” , a więc refleksje intelektualną. Motyw ten pogłębia jeszcze refleksja historyczno-historiozoficzna z wiersza „Ojczyzno…”:

> Czy kiedyś wreszcie przestaniesz nas dzielić
>
> Na złych i dobrych – na głodnych i sytych (…)

To także często w polskiej tradycji powracające pytanie dotyka jednego z najboleśniejszych polskich problemów: tego, że Ojczyzna nie traktowała sprawiedliwie swoich dzieci, że ich dzieliła, upokarzała, odrzucała jednych, a wynosiła innych,

niekoniecznie oceniając według zasług, że to, co Broniewski nazywał „rachunkami krzywd”, to polski chleb powszedni. Zresztą przytoczony na wstępie wiersz brzmi niemal identycznie jak początek znanego wiersza Broniewskiego „Mannlicher” (Nie głaskało mnie życie po głowie/ Nie pijałem ptasiego mleka), co wskazuje na nawiązanie do tradycji poezji (w dobrym tego słowa znaczeniu) rewolucyjnej, romantycznej. Świadomość tej niesprawiedliwości ciska Gurecki w twarz Polsce jaruzelskiej i kiszczakowskiej, Polsce zbitej, internowanej, podzielonej, krwawiącej, dmuchające w tlące się iskry nadziei niemal wbrew niej, Polsce okłamywanej, sprzedawanej. Polsce, której jakby w tej sytuacji właściwie nie było. Odżywają wtedy tęsknoty za normalnością trudną, ale godną:

> Aby na prawdę poznać życie,
>
> Musiałbyś również się urodzić
>
> W starej czynszowej kamienicy
>
> Dzielnicy Chojny miasta Łodzi.

> Tam zwykła szara ludzka bieda
>
> Skradała się na strome schody,
>
> Po których mama z wielkim trudem
>
> Dźwigała ciężkie wiadra wody (…).
>
> (Poznać życie)

Niestety – to już tylko wspomnienie. Nie ma już tamtego świata, a za chwilę nie będzie tego już i tego tu – koszmarnego, ale swojego. Ojczyzny. Bo oto już gdzieś podstawiają pociąg lub tankują zbiorniki samolotu, który przewiezie przez Styks, do obcego, nieznanego świata:

> Dziś ostatni raz pogadamy
>
> Przy butelce o sprawach naszych.
>
> Gorycz czai się na dnie szklanki
>
> Spakowana walizka straszy…
>
> (Dziś ostatni raz)

A owa ojczyzna – to przecież bardzo różne rzeczy, ale zawsze cenne. Oddalenie tylko dodaje im wartości, czyni ważnymi, niezależnie od ich natury i funkcji:

> Plik amatorskich zdjęć w albumie,
>
> Gwóźdź – kiedyś w ścianę krzywo wbity,
>
> W szufladzie – listy przeczytane,
>
> W barku – łyk whisky niedopity (…)
>
> (Cóż pozostanie)

A gdy już się przez ten Styks przepłynie – sentymenty należy odłożyć, przynajmniej na początku. Naga prawda pobrzmiewa czystym estetycznym tragizmem, niemal jak z Herberta:

> Tam byłeś wrogi, tu jesteś obcy,
>
> Zaciśnij zęby, już raz wybrałeś!
>
> (Wigilia 1987)

Emigranckie życie może bywać koszmarem, trzeba o tym pamiętać. To jedna więcej pozycja w rachunku, który wystawić się powinno tym, którzy ludzi Sierpnia okradali z ojczyzny (a dziś chodzą w glorii tych, co „uratowali Polskę”):

> Nieraz wspomnienie sen ci odbierze,
>
> Wśród nocy wstawać każe
>
> I – albo zdusisz w sobie tęsknotę,
>
> Albo – spakujesz bagaże (…)
>
> (Do Kolegi)

Emigrant, zwłaszcza polityczny, zawsze nasłuchuje. Czeka. Ma nadzieję. Nadzieję na zmianę, na to, że – trawestując Mickiewicza – ktoś zawoła. Ale dla ludzi takich jak Winicjusz Gurecki czas nie miał dobrych wiadomości. Paskudzące się rany wspomnień stanu wojennego nie miały szans zagoić się. Wsłuchiwanie w głosy z ojczyzny kończyło się jeszcze większą goryczą – goryczą kolejnych klęsk, tracenia kolejnych złudzeń: napływały informacje o kontraktowych wyborach, o spychaniu w niebyt ludzi Sierpnia, o „okrągłym stole”, o tym, że „czerwoni” ręka w rękę z Solidarnością…

Nie będzie rozliczeń

Co było – to było

Pozwólcie chwastami

Zarosnąć mogiłom.

Sto procent w Senacie

Trzydzieści pięć w Sejmie

Generał też Polak

Nie trzeba oddzielnie (…)

(Siadajcie)

A przecież się słucha, żyje się tym krajem, który tak bardzo nie daje się kochać, a który tak trudno z serca wyrzucić. Cóż – polski

los. Nie wszyscy łatwo adaptowali się na emigracji, wielu nie zaadoptowało się i nie zaadoptuje nigdy. To ci, o których pięknie napisał poeta:

> Można uciec przed nędzą i głodem,
>
> Przed milicją, więzieniem i wojskiem,
>
> Ale wszędzie jesteście skazani,
>
> Dożywotnio, zaocznie – na Polskę.
>
> (Tęsknota)

To oczywiście refleksja „pro domo sua”. Takim skazanym jest przecież sam Autor. Co może złagodzić dotkliwość kary? To, co często ocala człowieka: drugi człowiek, miłość. I przeświadczenie, że się w życiu czegoś chciało. Toteż te zwrócone do żony – towarzyszki emigracyjnej tułaczki – słowa Gureckiego, tchną mimo wszystko nadzieją i ufnością:

> Nie narzekaj na tę nasza wspólną drogę,

> Że ciernista i zakrętów na niej tyle,
>
> Przecież sama obiektywnie musisz przyznać,
>
> Że się ze mną nie nudziłaś, ni przez chwilę.

Ciekawe życie… Chińskie przekleństwo. Ale dla Polaka – dziwne słowa. Nie bardzo złe, choć może nie bardzo dobre. Niemal każdemu z nas dane jest właśnie coś takiego: ciekawe życie…

Więc może to jednak przekleństwo? Może należałoby się co dzień modlić o życie nudne? Nie wiem. Autor „Smug cienia” znajduje optymizm.

Fredro z Krainy

Humoru

Rozmowa **Anny Gordijewskiej** z **Mariuszem Olbromskim**, literatem, dyrektorem Muzeum Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów w Stawisku.



Pałac Fredrów w Bieńkowej Wiszni, fot. Ewa Giszterowicz.

Czy Aleksander Fredro jest Panu bliski?

Oczywiście, to rodak z mojej „małej ojczyzny”. Aleksander

Fredro herbu Bończa przyszedł na ten świat w Surochowie w 1793 roku, w wiosce położonej przy starej trasie kolejowej między Jarosławiem a moim rodzinnym Lubaczowem. Mniej więcej w odległości kilkunastu kilometrów. Fredrowie, byli bogatą szlachtą, mieli tytuł hrabiowski. W Surochowie był drewniany dwór, który później został przebudowany na pałac. Aleksander rósł w nim do trzeciego roku życia. Kiedy w dzieciństwie jeździliśmy tą trasą kolejową, moja mama mówiła: „Patrz, tu się urodził Fredro". Ale nie było na co patrzeć. Stacyjka w Surochowie była mała, zaniedbana. Do dziś nic się tam nie zmieniło. Pałac Fredrów spalono w czasie II wojny światowej, a w latach 70. został rozebrany. W Lubaczowie, w domu moich dziadziów były książki Fredry. Czasem w codziennych rozmowach go cytowano. Może dlatego, że babcia Aniela, piękna kobieta w młodości, występowała w amatorskim teatrzyku w pobliskim Cieszanowie. Wystawiano sztuki Bałuckiego i Fredry. Kiedy zapomniała roli w „Ślubach panieńskich" dziadziuś, wtedy ognisty kawaler, przytomnie zerwał się z pierwszego rzędu i zasłonił kurtynę. Tym wiekopomnym zgoła czynem zwrócił na siebie jej uwagę. Zjednał sobie przychylność przyszłej żony. Tak więc Fredro uroczo i dowcipnie, w jakimś stopniu, przyczynił się też do tego, że zaistniałem nieco później na tym świecie. Oprócz przeżyć literackich, teatralnych, coś niecoś mu zawdzięczam.

Biografia Fredry związana jest nie tylko z ziemią

lubaczowsko-jarosławską, przemyską, ale i lwowską…

Może przede wszystkim. To zresztą jest jeden krąg kulturowy. Mały Fredro z Surochowa wyjechał z rodzicami do swych dziadków, którzy mieszkali we dworze w Nienadowej nad Sanem, w pobliżu Przemyśla. Ten dwór do dziś istnieje, jest w rękach prywatnych. Fredro po okresie napoleońskim jakiś czas gospodarował w Jatwięgach, a później w pobliskiej Bieńkowej Wiszni koło Rudek, w pięknym pałacu, który zresztą sam, na prośbę ukochanej żony, zaprojektował i zbudował. Później przeniósł się do Lwowa, do dworku na Chorążczyźnie, gdzie tworzył, działał dla dobra miasta i kraju, i gdzie zmarł w 1876 r. Pochowany został w krypcie kościoła parafialnego w Rudkach. Jeśli nie liczyć jego podróży do Włoch, do Paryża, gdzie chodził na przestawienia do teatru i tam zapoznał się bliżej ze sztuką sceniczną, jeśli nie liczyć romantycznej wycieczki razem z Napoleonem śladami hetmana Stanisława Żółkiewskiego do Moskwy, to można uznać, że mieszkał większość życia w pobliskich sobie miejscowościach, na tym szczególnym obszarze.

Dlaczego można mówić o „szczególnym obszarze”?

Dla mnie, ten obszar zwany niegdyś Małopolską Wschodnią, to jeden duchowy krąg. Istnieją tam miasta o podobnej historii, architekturze, w których panoramie dominują wieże kościołów i cerkwi, jeszcze często można tam spotkać zrujnowane synagogi.

Realne świadectwa wieków wspólnego życia, wspólnej historii kilku narodów. To widać od razu. Ale jest jeszcze coś co się nazywa aurą duchową, która dawniej te miejscowości też łączyła. Z tej aury zrodziła się między innymi gwara lwowska „bałak". Bo to jest właśnie obszar „Księstwa Bałaku", którego Lwów był stolicą. Trzeba przypomnieć, że określenia tego użył po raz pierwszy w jednym z poematów Andrzej Chciuk, poeta i pisarz z Drohobycza. Wielbiciel tej cudownej gwary, słońca mowy kresowej. Języka, w którym słowa polskie, ruskie, jidisz, niemieckie, ormiańskie, wielu innych narodów połączone humorem, przeniknięte uśmiechem tworzą cudowną mieszaninę. To jakieś jedyne na świecie „esperanto" kilku narodów, którym bałakano ze sobą na fali porozumienia duchowego, poczucia wspólnoty, mimo różnic. Ukochaną gwarą potrafili porozumiewać się ludzie kilku narodów, z różnych środowisk: profesorowie lwowskich uczelni, szkół, inteligencja. Ale i batiarzy, i tak zwani zwyczajni – choć słowo to bardzo mylące – mieszkańcy wielu miast i miasteczek. Oczywiście „Księstwa Bałaku" nie ma i nie było na żadnej mapie. A jednak istniało. Wspólnie, z drugim.

A z jakim, proszę powiedzieć?

Dla mnie „tym drugim" jest literacka „Kraina Humoru". Która powstała na tym samym, niewielkim obszarze. Mimo wszystkich tragedii historii. Właśnie ze specyficznej aury duchowej, ze

specyficznej tradycji, z inteligencji i polotu serc. Bo właśnie z tego przecież regionu pochodzą pisarze obdarzeni szczególnym darem wywoływania śmiechu. I ich wspaniałe, mądre, krzepiące, bawiące nas do dziś dzieła. Począwszy od „ojca literatury polskiej" Mikołaja Reja z Żurawna nad Dniestrem, który pisał nie tylko poważne rozprawy, jak „Postylla", czyli komentarze do Biblii. Bo jest on też autorem „Figlików", które i dziś potrafią śmieszyć. To zbiór 236 ośmiowersowych epigramatów, wydanych w 1574 roku, uroczych perełek humoru. Jego najpopularniejsze obecnie dziełko „Krótka rozprawa miedzy panem, wójtem, a plebanem", zawiera wszak świetne fragmenty humorystyczne. W pobliżu Żurawna w Stryju urodził się we współczesnych już czasach i wychowywał Kornel Makuszyński, autor „Koziołka Matołka", ale i szeregu innych „słonecznych" utworów dla młodzieży. To chyba nasz najbardziej pogodny pisarz w XX wieku. Ale Krainę Humoru tworzył też ks. bp. Ignacy Krasicki, przez lata związany z Przemyślem i jego wspaniała „Monomachia", której akcja ponoć dzieje się w tym mieście.

No, a we Lwowie w XX wieku Marian Hemar…

Tak, jak najbardziej Marian Hemar, świetny poeta, autor trzech tysięcy tekstów uroczych i dowcipnych piosenek kabaretowych, wielkich przebojów, takich jak: K*iedy znów zakwitną białe bzy*, *Czy pani Marta jest grzechu warta, Ten wąsik*, *Nikt, tylko ty*, *Upić się warto*. Świetnie, że teraz we Lwowie powstał kabaret

polsko-ukraiński inspirujący się twórczością Hemara, bo humor także łączy. A i Wiktor Budzyński, przed wojną dyrektor słynnej „Wesołej Lwowskiej Fali", gdzie Szczepcio z Tońkiem bałakali, reżyser wielu słuchowisk, poeta, autor wodewili, m.in. „Preclarki z Pohulanki". Henryk Zbierzchowski, twórca pieśni kabaretowych, komedii, takich jak „Małżeństwo Loli", „Pojedynek" „Szczęście Gzymsa". Także Horacy Safrin rodem z Monasterzysk na Podolu, który zebrał finezyjne anegdoty żydowskie. I dobrze, że je stale drukuje „Kurier Galicyjski" A także, a może nade wszystko, lwowski „książę poetów" Zbigniew Herbert z jego mądrym humorem, z jego świetną poetycką kreacją Pana Cogito i sławną na całym świecie ironią. I wielu, wielu innych. Trudno wymienić wszystkich. Ze współczesnych trzeba choć wspomnieć o Witoldzie Szolgini, czy Januszu Wasylkowskim. Pewnie zabrakło by szpalt gdybym miał o każdym choć kilka słów powiedzieć. Twórczość Fredry, który był genialnym samoukiem i wyrósł na naszego najwybitniejszego komediopisarza, jest odrębna i jedyna. Ale przecież jest częścią tego kręgu kulturowego, współtworzy magiczną, wspaniałą, literacką „Krainę Humoru".

I ta literacka Kraina Humoru istnieje razem z Księstwem Bałaku?

Kraina Humoru istnieje i może będzie się jeszcze ubogacać. Trochę gorzej jest z „Księstwem Bałaku", bo dzisiaj na skutek

przemian cywilizacyjnych i historycznych bałak prawie zaginął. Już niewielu go pamięta i chce się nim cieszyć. A szkoda. Jeszcze w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych bałakiem posługiwano się dość często. Także w moim Lubaczowie, dokąd po wojnie przyjechało sporo osób zza wschodniej granicy. Czasy były trudne, ale ratowano się, między innymi, humorem. Przeplatanym właśnie bałakiem, który długo po wojnie, także w przygranicznym Lubaczowie, jeszcze trwał.



Wnętrze pokoju Aleksandra hr. Fredry. Podług fotografii Trzemeskiego.



Wnętrze pokoju Aleksandra hr. Fredry. Podług fotografii Trzemeskiego.

Czy może Pan podać przykład z tamtych czasów?

W PRL-u panował systemem, którego głównym zadaniem była naprawa problemów, które sam nieustannie tworzył. Pracowano wytrwale. Panował – że tak powiem – urodzaj niedoborów. Co roku obfitowało. Któregoś lata nie mogli wyprodukować środków owadobójczych. Ruszyła propaganda: „Imperialiści zrzucają stonkę z samolotów, by zniszczyć zbiory!” Na polach stonki było faktycznie mnóstwo. Pojawiły się plakaty. Na jednym z nich, który wisiał w domu mego dziadka w wychodku, stonka

wyglądała jak groźny potwór z kosmosu. Ogromnych rozmiarów, z okiem jak hełm kosmonauty, z mackami zakończonymi długimi palcami złodzieja. Niekiedy chodziłem z dziadziusiem do sklepów, aby mu pomóc. I pamiętam taką rozmowę w „Sklepie żelaznym". – *Czy som moży gwoździ, czy stonka źziarła?* – pytał grzecznie dziadziuś. – *Ali ło* – odpowiadał uprzejmie sprzedawca – *zziarła już kartofli, buraki, mnienso, koszuli i meszty w całym mieści. Ali gwoździ jeszczy ni. Bo ma po nich czekawkę. I dlatego som*. – *To ja poproszy te gwoździ mniejszy* – kontynuował dziadziuś – *Bo moży po dużych si zadławi i zdechni*. – *Niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba* – odpowiadał cytatem z Fredry, wznosząc nabożnie oczy do góry, sprzedawca.

Jak rozwijała się twórczość autora „Zemsty"?

Tworzył skokami, nie w sposób ciągły. Miał okresy wzmożonego wysiłku twórczego, a potem milczenia. W roku 1818 w wieku dwudziestu kilku lat napisał pierwszą ważną komedię „Pan Geldhab". Pierwszy etap jego twórczości przyniósł świetne komedie, m.in. „Męża i żonę", „Cudzoziemczyznę", „Śluby panieńskie", „Pana Jowialskiego", no i „Zemstę" oraz „Dożywocie". Fredro tworzył wówczas także wodewile i farsy, jak choćby: „Damy i huzary" oraz „Gwałtu, co się dzieje!" W 1835 roku po krytyce twórczości m. in. przez Seweryna Goszczyńskiego komediopisarz na 15 lat umilkł, pisał tylko „do szuflady". Po wspomnianej przerwie wznowił działalność twórczą

i wówczas powstało szereg świetnych dzieł, z których na szczególną uwagę zasługują: „Wielki człowiek do małych interesów”, „Wychowanka”, „Rewolwer”. Wznowił swoje komediopisarstwo około sześćdziesiątego roku życia, zamknął pod osiemdziesiątkę. Nie ma w naszej literaturze analogicznego przypadku. Jego twórczość trwała łącznie 50. lat. Mało się o tym pisze i mówi, ale prócz talentu Fredro był ogromnie pracowity. I ciągle się uczył. To był wielki mistrz słowa polskiego. Każdy z etapów jego twórczości mógłby starczyć na osobną biografię twórczą. Obie są wspaniałe i różne. Każda z nich mogłaby być pełnym, osobnym dorobkiem życia wybitnego pisarza. A przecież komedie to nie wszystko. Pisywał wiersze, poematy, aforyzmy, no i cudowne bajki. Któż ich nie zna: „Małpa w kąpieli”, „Zupa na gwoździu” , „Paweł i Gaweł”. Osobnym, świetnie napisanym dziełem jest pamiętnik „Trzy po trzy”. W późnym okresie powstały „Zapiski starucha”, których już sam tytuł mówi o dystansie do siebie autora, zbiór aforyzmów. Stosował różne techniki komediowe, wiele poematów przynosi oryginalne eksperymenty wersyfikacyjne.

Czy Fredro był na co dzień wesoły?

Nie. Był ponurakiem. Hipochondrykiem i na starość coraz większym mizantropem. Może był wesoły we wczesnej młodości, kiedy szalał na balach. Później, w związku z przeżyciami z wojen napoleońskich, po rosyjskiej niewoli w Wilnie, miał powody do

bycia w złym humorze. Ze względów zdrowotnych, ale też innych. Galicja była w końcu zaborem, była niewolą. Jest taka świetna książka na ten temat Jarosława M. Rymkiewicza, „Fredro jest w złym humorze". Od roku 1828 dręczyła pisarza podagra, bolesna choroba stawowa nie bez związku z jego przeżyciami wojennymi. Z roku na rok ataki podagry były coraz boleśniejsze, szczególnie w nocy Fredro nie mógł w ogóle spać. Pisał całe noce stojąc przy pulpicie. Miał przywiązane pióro do ręki, która go bolała, a koślawe litery w ostatnich latach jego życia przepisywał w dworku na Chorążczyźnie specjalnie zatrudniony kopista. Jeszcze później Fredro nie mógł całymi dniami wstać z łóżka. Dzieła, które nas bawią, powstawały często w szczególnych okolicznościach. Jednak trzeba też wspomnieć, że wielkim dla niego ratunkiem było szczęśliwe małżeństwo z Zofią z hr. Jabłonowskich, z którą się bardzo kochali. Myślę także, że jego twórczość była dla niego samego także autoterapią, radością tworzenia, jego wspaniałym darem dla społeczeństwa, które między innymi chciał chronić humorem przed apatią, po klęsce powstania listopadowego.

Czy Fredro był patriotą?

Tak, gorącym. Już w wieku szesnastu lat, kiedy do Galicji wkroczyły w 1809 oddziały księcia Józefa Poniatowskiego, zaciągnął się do Armii Księstwa Warszawskiego. W 1812 roku wziął udział w wyprawie na Moskwę. W czasie walk dostał się do

niewoli rosyjskiej w Wilnie, z której sprytnie zbiegł i udał się do Saksonii. Następnie walczył pod Dreznem, Lipskiem, Hanau, później w kampanii francuskiej – we wszystkich wielkich bitwach prowadzonych przez Napoleona. Awansował do stopnia kapitana. Kiedy skapitulował Paryż, w roku 1814, podał się do dymisji. Bił się dzielnie, był świetnym żołnierzem o czym mogą świadczyć odznaczenia, które otrzymał za zasługi wojenne. To Złoty Krzyż Virtuti Militari w 1812 roku, a dwa lata później Krzyż Kawalerski Legii Honorowej.

Po latach, w utworze „Pro memoria" pisał o tym lekko i dowcipnie. Przy okazji podał dość mało romantyczną wersję powołania poetyckiego, która osłabia zapał jego apologetów, wprawia w zakłopotanie uczonych teoretyków literatury:

> Wyjechaliśmy razem nie z równych pobudek,
> Napoleon na Elbę, ja prosto do Rudek.
> Tęskniłem za obozem… nudziłem się przeto,
> I ażeby coś robić, zostałem poetą.

Później, gdy walka zbrojna stała się – jego zdaniem – niemożliwa, świetnie gospodarował w Beńkowej Wiszni i walczył piórem.. Podejmował szereg wyjątkowo cennych dla społeczeństwa inicjatyw. Uczestniczył na przykład w kształtowaniu Zakładu im. Ossolińskich. Fredro był jednym z animatorów powstania kolei w

Galicji. Korespondował w tej sprawie z Leonem Sapiehą, zabiegał o fundusze na ten cel u bankierów w Wiedniu. Napisał do cesarza adres, w którym domagał się wprowadzenia języka polskiego w szkołach i urzędach, udziału Polaków w urzędach państwowych. Podpisał też petycję – wtedy, co warto podkreślić – o konieczności utworzenia wolnej Polski. Ogromnie zasłużył się nie tylko jako pisarz, ale też jako obywatel Lwowa. Miasto obdarzyło go honorowym obywatelstwem oraz pięknym pomnikiem według projektu Leonarda Marconiego z 1879 r., który stał w centrum Lwowa. Po wojnie monument na pewien czas przewieziono do Wilanowa, a od 1956 roku zdobi rynek we Wrocławiu, gdzie trafiła po wojnie duża część ludności ze Lwowa.



Czy w związku z tym, że Fredro jest Panu bliski, także w Stawisku zaistniała impreza fredrowska?

Oczywiście, nazwana przekornie w nawiązaniu do znanego hasła ze słusznie minionego okresu „Fredro wiecznie żywy”. Ma charakter doroczny i na Mazowszu się przyjęła. W tym roku niedawno ze sztuką „Mąż i żona” pojawili się w Stawisku młodzi i bardzo utalentowani absolwenci Akademii Sztuk Teatralnych we Wrocławiu Natalia Bloch i Piotr Czekalski, aktor Teatru Pinokio

w Łodzi. Młodzi wystąpili ze spektaklem we własnej adaptacji, scenografii i reżyserii.

Przyczynił się Pan kiedyś do utworzenia Muzeum Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu, Józefa Conrada-Korzeniowskiego w Berdyczowie, a później w jakimś stopniu też do utworzenia Muzeum Aleksandra Fredy w Rudkach. Jak do tego doszło?

Mam taką niegroźną – jak mnie uspokajają lekarze – manię. Polega ona na chęci tworzenia muzeów. Kiedyś na próżno próbowano mnie z niej wyleczyć w Przemyślu, gdzie powstał nowy, okazały gmach muzeum. I dwa inne muzea. O Muzeum Fredry marzyłem od dawna. W 1990 roku byłem po raz pierwszy w pałacu Fredrów w Beńkowej Wiszni. Chodząc po salach razem z prof. Bogdanem Zakrzewskim z Wrocławia, wybitnym fredrologiem, już wtedy snuliśmy plany. Ale pałac jest ogromny, mocno zaniedbany. Później powracałem do tematu z panem Jackiem Dmitrowskim, dyrektorem Muzeum Regionalnego w Dębicy. Ale remont pałacu pochłonąłby ogromne kwoty i trwał bardzo długo. Na razie przeprowadzono prace związane z inwentaryzacją. To w przyszłości będzie pomocne do prowadzenia dalszych przedsięwzięć, niezależnie od wartości naukowej samej inwentaryzacji. Mieści się tam teraz filia uczelni rolniczej w Dublanach. Jest tam jedna sala poświęcona Fredrze, a prowizoryczną ekspozycję zorganizował dyrektor tej placówki.

Ten pałac to budynek wyjątkowy…

Zupełnie. Bo nie tylko zaprojektowany i zbudowany przez pisarza, nie tylko jest piękny architektonicznie, ale to miejsce wyjątkowe dla naszej całej kultury literackiej. W nim mieszkał w latach 1828-1846 żoną Zofią z domu Jabłonowską, i tam powstały najlepsze komedie Fredry z pierwszego okresu jego twórczości. Później gospodarował w nim i tworzył jego syn Jan Aleksander Fredro, również utalentowany komediopisarz, a następnie syn Jana – Andrzej Maksymilian Fredro, literat i poeta. Zatem przez trzy pokolenia ród Fredrów tym budynku tworzył ze słów pałac kultury polskiej. Ale ponieważ szybkie utworzenie w tym budynku muzeum było niemożliwe, powstał więc projekt, żeby we wnętrzach zabytkowej, barokowej dzwonnicy kościoła w Rudkach, gdzie pisarz – jak wspomniałem – został pochowany i jest kaplica rodowa Fredrów, zorganizować małą ekspozycję. Swoją manią zaraziłem Adama Chłopka z Drohobycza, który włączył się i ogromnie zaangażował w zorganizowanie tej skromnej ekspozycji. Uroczystość jej otwarcia i poświęcenia w 140. rocznicę śmierci wielkiego komediopisarza odbyła się z udziałem J.E. ks. abp Mieczysława Mokrzyckiego, aktorów Polskiego Teatru ze Lwowa i Teatru Fredreum z Przemyśla, licznie zgromadzonych mieszkańców Rudek. Teatr Fredreum był tam zresztą po raz kolejny, bo co roku fredrowcy odwiedzają Rudki, aby złożyć kwiaty na sarkofagu swego patrona i zapalić znicze. Wiele razy, kiedy jechaliśmy w ramach „Dialogu Dwóch

Kultur” do Krzemieńca, to po drodze przyjeżdżaliśmy do Rudek. Często towarzyszył nam zespół Teatru Fredreum. Nigdy nie zapomnę jak któregoś roku wspaniale zaprezentował się na stopniach pałacu w Beńkowej Wiszni z fragmentami „Zemsty”. Była piękna pogoda, pałac w blasku wrześniowego słońca wyglądał urzekająco, a aktorzy stworzyli w tej wyjątkowej scenerii cudowne kreacje. Ale chyba największym dla mnie przeżyciem był spektakl Polskiego Teatru Ludowego ze Lwowa na uroczystości ponownego pochówku Aleksandra Fredry w 1991 r., kiedy zespół kapitalnie przedstawił „Dawny spór” Mariana Hemara. To błyskotliwie napisana jednoaktówka, w której Hemar przypomina atak Seweryna Goszczyńskiego na Fredrę. Goszczyński był oburzony, że Fredro po upadku powstania listopadowego pisze i wystawia komedie, że jest obojętny na sprawy narodowe. Spór taki rzeczywiście miał miejsce, bo autor „Zamku Kaniowskiego” zaatakował Fredrę w 1935 roku na Łamach „Powszechnego Pamiętnika Nauk i Umiejętności”. Trzeba wspomnieć, że w zasadzie tym atakiem Goszczyńskiego nikt się specjalnie nie przejął, bo społeczeństwo uwielbiało jego komedie, oprócz samego Fredry, który umilkł na wiele lat. Goszczyński, sam jak wiemy wspaniały poeta i patriota, nie zrozumiał intencji Fredry. Ale zrozumiał je, na przykład książę Adam Czartoryski, niekoronowany król Polski na emigracji w Paryżu, który do autora „Zemsty” skierował list gorąco zachęcając go do dalszej twórczości. Zatem właśnie w Rudkach pierwszy raz spotkałem Teatr Polski ze Lwowa i od razu pojąłem,

że mam do czynienia ze zjawiskiem artystycznym świetnym i zupełnie wyjątkowym.



Czy prawdą jest znane porzekadło, że „śmiech to zdrowie”?

To powiedzonko niesie prawdę. Jest rzetelną informacją. Dzisiaj wiadomo na podstawie doświadczeń lekarzy, a także po licznych badaniach klinicznych, że śmiech wpływa pozytywnie na krążenie i ciśnienie krwi. Powoduje wzmożoną pracę serca. Śmiejąc się nabieramy więcej powietrza do płuc, a więc dotleniamy organizm. Co ma dalsze i wielorakie pozytywne skutki. Ćwiczymy mięśnie szkieletu, relaksujemy ciało. Śmiech, między innymi łagodzi problemy z astmą i migreną. Przyczynia się do osłabienia bólu. Generalnie więc polepsza stan zdrowia. A

jak twierdził sam Fredro:

> Szanuj zdrowie należycie
>
> bo jak umrzesz stracisz życie”.

Czy ma oddziaływanie tylko somatyczne, czy wpływa też na psychikę?

Jak wiadomo organizm człowieka stanowi jedno. Dobre zdrowie fizyczne warunkuje dobre zdrowie psychiczne. I na odwrót. Śmiechem na poważnie zajmowali się filozofowie, począwszy od Arystotelesa. Humor ma ogromne znaczenie terapeutyczne. Często jest wyrazem życzliwości, przychylnego stosunku do innych ludzi, świadczy o pełnym rozwoju osobowości człowieka. Czyli Fredro krzepi, a wraz z nim wszyscy twórcy „Krainy Humoru”.

Co w takim razie zaleca Pan jako lekarstwo?

Rano dwie pigułki z dzieł Fredry, w południe dwie łyżki z Hemara, wieczorem pigułka z Makuszyńskiego. Zwłaszcza gdy w domu są dzieci i można poczytać „Koziołka Matołka”. Nacierać głowę maścią „Tońko i Szczepcio”, będzie lepiej! Smarować uszy bałakiem. I nie trzeba będzie chodzić do szpitala, czekać w

długich kolejkach. Oszczędza się fundusze na leki w aptece. Jeśli nie pomoże, to nie zaszkodzi. Mogę na to udzielić bezpłatnie każdemu gwarancji na sto lat. Na piśmie.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Ta to ja dziękuji. Ta z taku magnifiku to sam mniód bałakać. Padam do nużek i całuji rączki.

Rozmawiała Anna Gordijewska
Tekst ukazał się w „Kurierze Galicyjskim" we Lwowie, nr 8 (328) 26 kwietnia – 16 maja 2019 r.

Z pustych serc

w próżną formę



fot. cgtrader.com

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Nie raz już zastanawiano się nad problemem twórczego pisania poza krajem, z dala od polskiego społeczeństwa. Nie chodzi o czasowe pobyty pisarza za granicą, ale o Polaków stale

przebywających poza ojczyzną. Wystarczy spojrzeć na same tytuły artykułów i antologii, aby zdobyć niezłą orientację w materii: „Mowa bez ziemi", „Ryby na piasku", „Opisanie z pamięci", „Cena wolności" itp. Te nagłówki dostatecznie mówią o anormalnych warunkach piszącego na emigracji w ojczystym języku. O ile jest zrozumiałe i naturalne, że pisarze wyrzuceni z ojczyzny przez kataklizm historyczny i nie mogący z powodu sytuacji politycznej do niej powrócić, piszą dalej, kontynuują swoje powołanie artystyczne czy naukowe, o tyle dorastająca za granicą młodzież jest w innej sytuacji. Kiedy młody człowiek podejmuje pióro, nawet we własnym kraju w normalnych warunkach, robi krok pełen ryzyka. Jest on szansą, a może się stać wielką przygodą. Debiutant musi opanować narzędzia swego fachu, umieć przekonać do siebie kolegów, znaleźć odbiorców. Jeżeli ma talent, czuje gust czytelnika, to startuje pod pomyślnymi znakami. Debiut wśród obcych w mało znanym otoczeniu bez zapewnionych czytelników jest zupełnie inną propozycją.

Takie trudne początki miała grupa młodych Polaków, która w latach pięćdziesiątych znalazła się w Anglii, precyzyjniej: w Londynie. Na przykładzie ich terminowania, najpierw w Kole Polonistów, a następnie w redakcjach pism studenckich „Życie Akademickie", „Merkuriusz Polski" i „Kontynenty" można obserwować ich początki. Trzeba na wstępie zaznaczyć, że byli oni dziećmi, kiedy wybuchła wojna, najstarszy z nich liczył

czternaście lat. Języka polskiego douczali się w sowieckich posiołkach, w obozach wojskowych, na pracach rolnych. Nie była to szkoła najlepsza.

Równocześnie poddani byli interferencji języków obcych z angielskim na czele, który był nie tylko językiem społeczeństwa, z którym związali swoje losy, ale zwycięskim medium, które podbijało wszystkie kontynenty stając się bezspornym językiem światowym.

U tych młodych, mimo rozległych perspektyw, jakie ukazywał język angielski, zwyciężył jednak język polski, niedouczony, taki jakim władali, jako język pierwszy i kulturowo decydujący. On się stał materią ich pisarskiej twórczości. Układając po polsku pierwsze wiersze czuli, że weszli na niezmiernie uciążliw, ale właściwą i jedyną drogę.

Normalną koleją spraw, powinni się byli uczyć od swoich starszych kolegów o przedwojennym dorobku i kontynuowanej twórczości, a nie brakowało ich w stolicy Wielkiej Brytanii, w której schronił się legalny rząd i powstały liczne placówki dające poczucie namiastki państwa, również instytucje kulturalne jak uniwersytet, dynamiczna biblioteka, teatr, Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, bogata prasa i szereg domów wydawniczych. Logiką nowego pokolenia nie poszli w ślady starszych, bo kierunek wytyczony przez nich nie był dla

debiutantów atrakcyjny. Młodzi czuli się inni, mieli tylko ograniczoną pamięć ojczyzny, a już byli po części z Zachodem zżyci.

Z początku funkcjonowali jako dziwny fenomen, *curiosum* zgoła na polskiej scenie. Ale w miarę jak szli dalej własną drogą, nie potrzebowali wskazań innych, odezwały się głosy niezadowolenia i cenzury. Krytykowano szczególnie ich twórczość poetycką.

Poezja współczesna nie ma czytelnika. Trudno jest powiedzieć czy to z winy samych poetów, którym się zarzuca odejście od człowieka, czy należy zapisać to na karb elitarności poezji wymagającej zbyt wiele od odbiorcy, czy wreszcie winić ducha czasu objawiającego się w innych mediach. Można oczywiście kroczyć wśród epigonów i „podobać się" mało wybrednemu audytorium, ale to nie każdego zadawalało. Oryginalność i nowatorstwo są zawsze trudne i ci, którzy im hołdują, płacą wysoką cenę w postaci braku zrozumienia i popularności. Nie mniej stanowią one wyzwanie raz po raz podejmowane. Nie inaczej było z poetami londyńskimi, o których mowa. Zarówno ich niegodzenie się z zastanym, jak i brak pisarskiego doświadczenia i w rzeczy samej nikły dorobek oraz zbyt schematyczne określanie swojej postawy, sprawiły, że byli w swoim czasie celem ataków starszych pisarzy.

Potykał się z nimi solidnie w polszczyźnie osadzony **Zygmunt**

Nowakowski (1891-1963). Nie rozumiał rozterki młodych w wyborze języka. Pasował ich łaskawie na biegłych praktyków przewidując, jak się miało okazać, trafnie, że mimo odgrażania się, przy języku polskim pozostaną. Natomiast **Jan Rostworowski** (1919-1975), poeta popularny, którego lubiane wiersze zapełniały sale, zgłosił zasadniczy sprzeciw. Dla niego już sama myśl, samo podawanie w wątpliwość sensu tworzenia na uchodźstwie w języku polskim, było herezją. Jego schronienie się w mowie, którą znał znakomicie, było szczęśliwsze od sytuacji młodych, ciągle jeszcze terminatorów, których wabiły różne perspektywy i nęciły szanse na opanowanie bardziej przydatnego języka.

Jan Rostworowski był znacznie od Zygmunta Nowakowskiego młodszy i wiekiem i wykształceniem zbliżony do grupy młodych poetow. Nie dostrzegał jednak ich problemu, jaką była niezgoda na tematykę i formę pisarstwa starszych kolegów. Widział w niej po prostu chęć odejścia od człowieka, w tym wypadku od człowieka emigracyjnego i ochotę służenia sztuce dla sztuki. Dziwił się, że młodzi, którzy w lwiej części nie posiadali biografii wojennej, zainteresowani byli tematyką odmienną i przewrotnie lekceważyli symbole swoich ojców, którzy dopiero co wyszli, dotkliwie doświadczeni, z kataklizmu wojennego. Zawieszeni między niemożnością podążania wydeptaną ścieżką a dramatem przypisania do języka pozbawionego konkretów i rzeczywistosci, którą wyrażała, jasno widzieli swoja niepewną przyszłość. Chcieli

wyjść na pisarzy, mierzyli wcale wysoko nie mogąc liczyć na czytelnika, który im będzie towarzyszył, odrzucali równocześnie epigoństwo i twórczość okolicznościową, pisarską polonijność w sensie zamkniętych horyzontów, taryfy ulgowej i braku ambicji.

Rostworowski dostrzegał jedynie odżegnywanie się od losu grupy wychodźczej dla pustego hołdowania czystej twórczości. Dlatego przepowiadał „palec piszący na ścianie 'mane tekel fares' ich artystycznej porażki". Dziwiło go, że młodzi nie przewidywali sukcesów, że spodziewali się pustki. Sami ją wytworzyli i dlatego byli dla niego ludźmi osobliwymi, trochę z innej planety, ludźmi, którzy znaleźli się mimo woli w skomplikowanej sytuacji.

> Wolność mają. Wolność – że zapożyczę się u Miłosza – przed strachem zniewolonego umysłu. I to ich tu trzyma. Na jak długo? Trudno przewidzieć. Może dopóty, dopóki strach przed próżnią nie okaże się silniejszy niż strach przed zniewolonym umysłem.

Taki los przepowiadał wiele lat temu poeta wówczas mocno osadzony na emigracji, wzięty i celebrowany liryk. Czy później miał jakieś wątpliwości, co do swojej prognozy? Bo „strach przed próżnią" okazał się jednak słabszy. Młodzi, o których pisał tak namiętnie, postarzeli się na emigracji, za to Rostworowski wrócił do Polski. Wyroki przyszłości są niezbadane, ale prywatne

decyzje zasługują na szacunek. W cytowanym już artykule (Haracz wolności, *Tydzień Polski*, 11.03.1961) poeta krakowski pomówił nas ponadto, że uciszyliśmy w sobie „teologiczny dialog” i że przelewamy „z pustych serc w próżną formę”. Dlatego, zdaniem autora, z tym bagażem nie wnijdziemy do Królestwa.

Wyrokowanie o zbawieniu bliźniego jest czynnością pochopną. Chcę wierzyć, że także w tym wypadku nasz krytyk nie będzie miał ostatniego słowa.

Poezja na emigracji

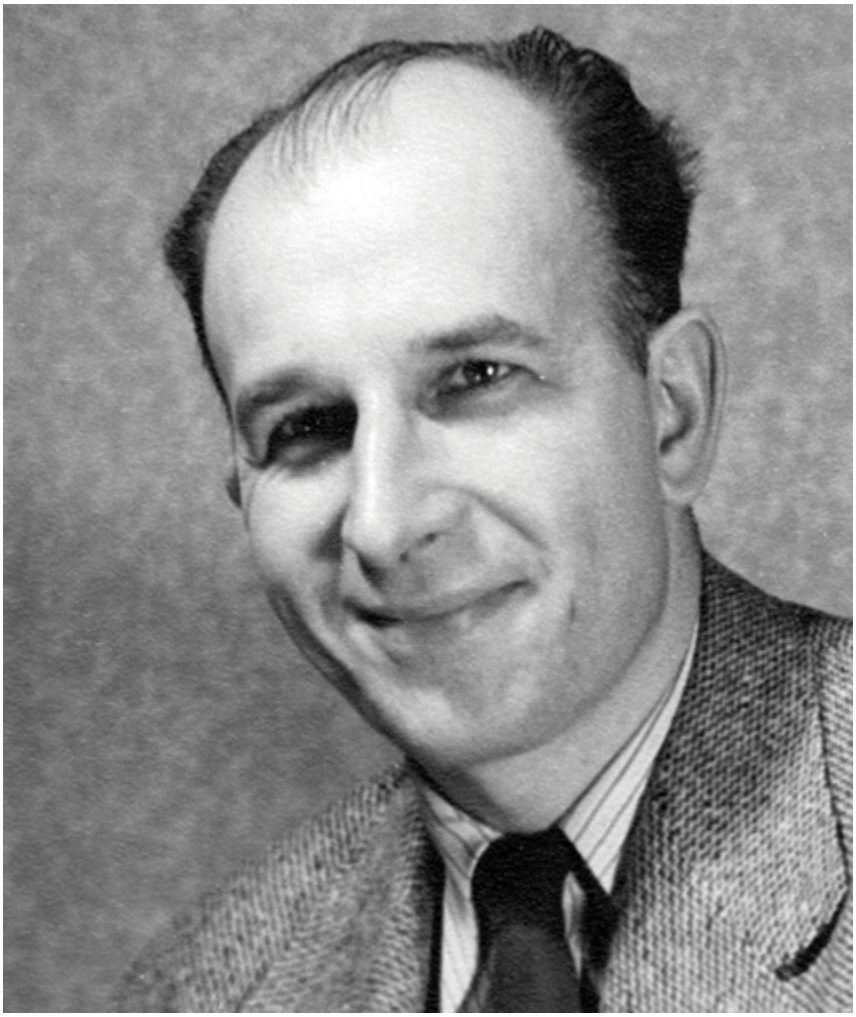

Aleksander Jana Połczyński, źródło: kulturadostepna.pl

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Aleksander Janta Połczyński (1908-1974) prowadzil w Nowym Jorku antykwariat druków słowiańskich wraz z Aleksandrem Hertzem (1895-1983). Zobaczywszy na ich półkach antologię "Opisanie z pamięci", wybór wierszy młodych londyńskich poetów emigracyjnych, spytałem o cenę. Dziesięć dolarów wydało mi się ceną zbyt wygórowaną. – To niech mi pan dostarczy egzemplarzy – ciągnął niespeszony Janta.

Antologia została sporządzona i wydana w czasie chwilowej odwilży w Polsce. Po ukazaniu się, zamiast w sprzedaży wylądowała w piwnicach Domu Książki. Kilka lat później odwiedzałem Katowice, kiedy akurat w “przecenie” pojawiła się nieszczęsna antologia. Nabyłem wszystkie 40 egzemplarzy na składzie i przewiozłem do Kanady. Posłałem sygnał do Nowego Jorku. Janta oferował już skromniejszą cenę, ale zakupił dziesięć sztuk, a ja za te dwadzieścia pięć dolarów przywiozłem sobie ze Stanów mały aparat radiowy, który dotąd działa.

***



Marian Czuchnowski, źródło: oficyna21.pl

Kontrowersyjnego między wojnami poetę **Mariana Czuchnowskiego** (1909-1991) nieraz spotykałem w Londynie w drukarni "Oficyna Poetów i Malarzy" Czesława i Krystyny Bednarczyków pod przęsłem mostu kolejowego Waterloo. Zatrudniali go do falcowania i innych prac związanych z produkcją czasopism i książek. Nieśmiały i przygaszony, zagubiony i zapracowany nie skarżył się na ciężki los robotnika w obcym kraju. Dla młodszych od siebie był człowiekiem bez przeszłości, nie znaliśmy jego literackich sukcesów i nie czytaliśmy najlepszych utworów. Tylko po łebkach

dowiedzieliśmy się o jego młodzieńczym radykalizmie, a potem o ciężkich przejściach w czasie zsyłki do ZSRR, gdzie stracił swoje iluzje raz na zawsze. Z armią Andersa przeszedł na Bliski Wschód.

Był podwójnie wyobcowany: z dawnych przekonań politycznych i ze środowiska awangardzistów. Postradał wiarę w wyznawaną dotąd ideologię będąc świadkiem inferna sowieckiego. Potem odrzucił kuszenie uprzywilejowanych towarzyszy wśród których mógł był zostać dygnitarzem w PRLu i pędzić dostatnie życie, ale wybrał mizerię emigracyjnego tułactwa i ubóstwo. Los nie szczędził mu osobistych tragedii. Opowiadał mi kiedyś w drukarni jak opiekował się umierającym ojcem i podawał mu uśmierzającą ból morfinę. Chętnie i szczodrze służył swoimi tekstami naszemu pismu sympatyzując z młodym idealizmem.

***

W czytelni British Museum w Londynie poznałem **Jana Rembielińskiego**, międzywojennego redaktora i prezesa Młodzieży Wszechpolskiej, a z zamiłowania historyka. Siedział nad pismami Długosza. Chodziłem z nim na niedrogie obiady do restauracji Lyonsa. Delektował się starymi słowami takimi jak "skotopaski" zamiast sielanki czy bukoliki, które akurat tłumaczyłem z łaciny Wergiliusza. Mówił mi z upodobaniem o Polsce piastowskiej (wyszedł tylko pierwszy tom jego „Historii

Polski. Średniowiecze” w 1948 roku) i wczesnej monecie na której było słowo “miłość”.

Obietnica



Maja Elżbieta Cybulska

Czasami ma się ochotę na wiersz, który po prostu porusza serce. Wybrałam „Powrót do Isfahanu” Stanisława Balińskiego, ze zbioru *Wieczór na Wschodzie* (1928).

> Powrócisz do Isfahanu, jak wraca pasterz do dolin:
>
> Aleją białych platanów, brzękiem wieczornych mandolin,
>
> Dzwonkami wiernych wielbłądów, idących z dalekich krajów,
>
> Szumem pienistych strumieni, milczeniem ogrodu Rajów.
>
> Zapachem róży wonniejszej od wszystkich kwiatów Gilanu,
>
> I srebrnym cieniem wieczoru – powrócisz do Isfahanu.
>
> Choćbyś nie umiał, nie wiedział i nie chciał – będziesz tam marzył.
>
> Myśli rozwłóczysz, rozdalisz, roztopisz po horyzontach,
>
> Zagubisz się i zachodzisz w miasta sinego trójkątach.

> Wśród placów, drzemiących biało, i śpiewających bazarów,
>
> Zapomnisz o biciu serca, zapomnisz o biciu zegarów.
>
> Na to dalekie są miasta, kąpane we wschodnim niebie,
>
> Żeby w nich błądząc samotnie, poczuć się bliżej siebie.
>
> Niebo się zniży, kopuły zaleje płynnym szmaragdem,
>
> Podasz mu oczy pogodne. Będziesz szczęśliwy. Naprawdę.
>
> (*Wiersze zebrane* 1927-1947, Londyn 1948)

Przy lekturze tego wiersza nie chce się niczego ponad to, co zostało w nim ofiarowane. No może przydałoby się trochę informacji np. że autor pełnił służbę dyplomatyczną m. in. w Teheranie, w latach 1925-1927, a przedtem ukończył studia muzyczne, teoretyczne i kompozycyjne w Wyższej Szkole Muzycznej. Ale to są wszystko okoliczności pomocnicze, spoza tekstu.

W utworze jest „spora orkiestra”, bo i brzęk mandolin i dzwonki wielbłądów, szum strumieni, a jeszcze bicie serca i zegarów. To

wszystko uwypukla otaczającą ciszę, milczenie (place „drzemiące biało”), zapomnienie. Całość jest tak osobna, tak radykalnie oddzielona od człowieczej aktywności (choć niekiedy ją przybliża), że sprawia wrażenie jakiegoś abstrakcyjnego pejzażu, na innej planecie. Jedynie zwrot do drugiej osoby: powrócisz, rozwłóczysz, roztopisz itd. sprawia, że spostrzegamy czyjąś obecność.

Kto to jest? Marzyciel zagubiony „w miastach sinego trójkątach”, samotnik, artysta wrażliwy na barwy, na „srebrne cienie wieczoru?, uwiedziony „zapachem róży”, odurzony powietrzem? Jest tu jakaś nieruchomość, zatrzymanie w czasie, wysublimowane przeżywanie momentu zetknięcia z czymś bardzo materialnym, a jednocześnie nieziemskim. Jest jeszcze przejrzystość, nie zdefiniowana konkretynymi określeniami, ale zasugerowana opisem otoczenia. I żadnej drugiej osoby oczywiście nie ma. To tylko chwyt utwierdzający autora w trafności własnych obserwacji.

Wiodą one do znalezienia sensu w życiu. A jest nim poczucie bycia „bliżej siebie”, wejrzenie w głąb. Baliński wnika w stan duszy wędrowcy, romantycznego pielgrzyma, który wchłania niezwykłe zjawiska i medytuje. Znajdując się w ciągłym ruchu, w drodze, jak brzmi tytuł innego wiersza, z tego samego zbioru, konstatuje:

> Cały świat jest ojczyzną. Nie ma krajów obcych,
>
> Tylko czas, co je spaja i dzieli jak chłosta

W końcu okazuje się, że ten świat „jest mniejszy od serca” i ucieczkę z niego zapewnia tylko śmierć. Ale przed ucieczką podróżnik ulega rozmaitym fascynacjom. Roztaczają się przed nim bajeczne widoki, ogarniają wzruszenia. Autor wskrzesza w swoim wierszu ponadczasową ideę dążenia: *Nawigare necesse est. Vivere non est.* I ta nieoczekiwana obietnica. „Będzisz szczęśliwy. Naprawdę”. Osobiście nie wierzę w podobne zapewnienia, ale jeżeli wychodzą one od poety, to chyba warto spróbować mu zaufać.

Czy można się dziwić, że czasami nadchodzi człowieka chętka przeczytania tradycyjnego, poruszającego serce liryku?



Stanisław Baliński, poeta, fot. Wikipedia.

Cały świat jest

ojczyzną

Edward Zyman

Zaczerpnięty z wiersza Stanisława Balińskiego „Powrót do Isfahanu” tutułowy wers tej notatki mógłby posłużyć jako motto uroczej książki Maji Elżbiety Cybulskiej *Łabędź. O wierszach*, wydanej nakładem Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego „Fraza” (2019). Zbiera ona gawędy o poezji, jakie autorka zamieszcza od trzech lat na łamach londyńskiego „Nowego Czasu”. Gawędy, bo to teksty pięknie, mądrze i niezwykle zajmująco „opowiadające” przesłanie osiemnastu wybranych wierszy (m. in. Balińskiego, Gałczyńskiego, Herberta, Homera, Horacego, Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, Miłosza, Przyłuskiego, Szymborskiej, Śmieji, Twardowskiego, Wergiliusza, Wierzyńskiego).

Teksty te są jednocześnie dowodem bezinteresownej miłości jaką Cybulska, uprawiająca krytykę, darzy sztukę pięknego słowa. Nie dziwi to specjalnie, jest bowiem również poetką. Wiersze są dla Maji Elżbiety Cybulskiej zaproszeniem do refleksji nad fenomenem ludzkiej egzystencji, nad człowiekiem, jego namiętnościami i pasjami, nad wpisaną trwale w jego kondycję samotnością, a także nad procesami cywilizacyjno-historycznymi

wyznaczającymi warunki jego bytowania. Są także hymnem na cześć sztuki, jedynej bodaj aktywności ludzkiej, która nie dzieli lecz łączy, przemawia do każdego z nas, bez względu na miejsce zamieszkania, rasę i wyznanie. Gdy potrafimy zachwycić się piekną frazą, obrazem mistrza czy ujmującym istotę naszej niepowtarzalności lirykiem, wówczas cały świat jest dla nas ojczyzną. Znikają wszelkie bariery i granice, otwierają się natomiast – nieograniczone możliwości komunikacyjne. Zapraszam do lektury jednej z gawęd, którą autorka poświęciła przejmującemu lirykowi Stanisława Balińskiego. Polecając tę interesującą książkę, zredagowaną przez krytyka, historyka literatury i miłośnika pięknych druków – dra Jana Wolskiego i opracowaną graficznie przez Grzegorza Wolańskiego nie sposób nie zwrócić uwagi na jej piękny, cieszący oko kształt edytorski.

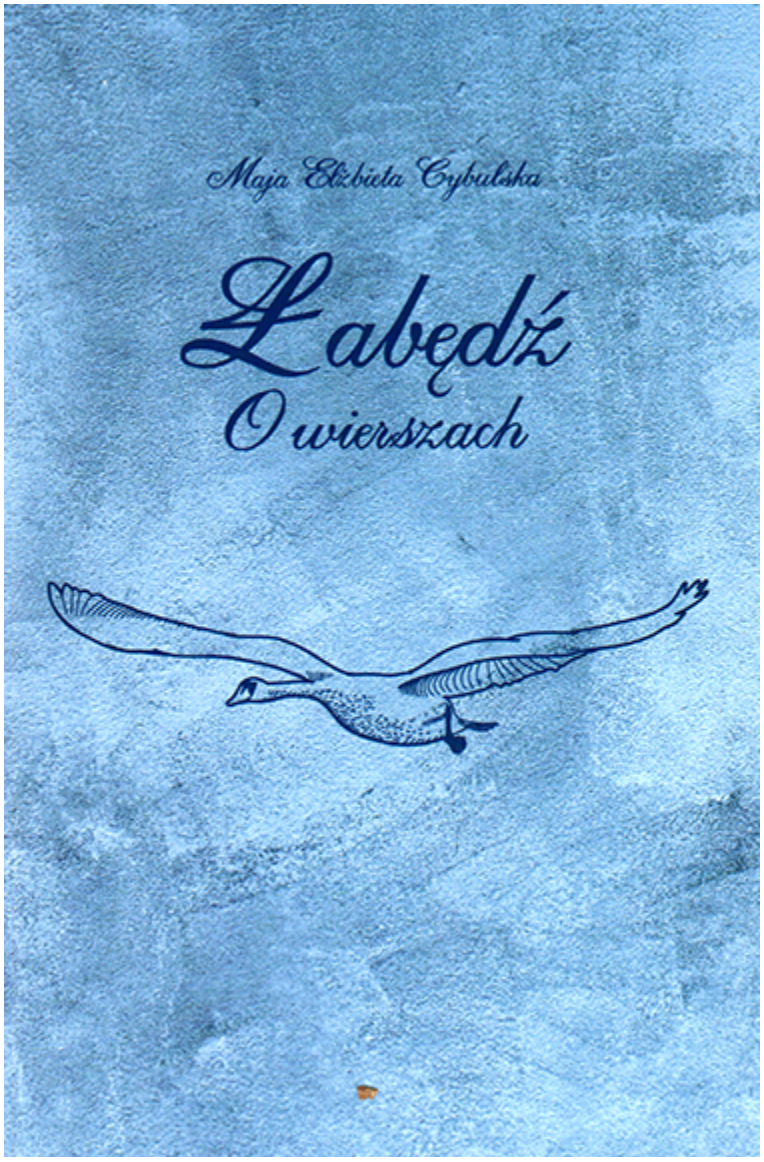

Świat należy

do niewrażliwych.
B. J. Jenne.



Caracas, Wenezuela.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Wielu Polaków przeszło koleje godne epopei. Do nich zaliczę Beniamina Józefa Jennego urodzonego w Warszawie w 1913 roku. Oddany od wczesnych lat ideologii lewicy po wojnie znalazł się w zarządzie miasta Warszawy. Nie mogąc pogodzić się z rozwojem sytuacji politycznej, już w roku 1948 uszedł do

Szwecji.

W tymże roku kończyłem studia uniwersyteckie w Irlandii, kiedy do portu w Cork zawinął okręt z demobilu „Victoria” wiozący kilkuset uchodźców z krajów bałtyckich. Płynęli oni ze Szwecji do Kanady, aby próbować szczęścia w Nowym Świecie. Byli to głównie Liwini, Łotysze i Estończycy, ale znajdowali się wśród nich również Polacy. Tak poznałem Jennego i jego żonę.

Władze irlandzkie statek, jako nie nadający się do transatlantyckich wojaży, zatrzymały. Do uchodźców po czasie przyjechali kanadyjscy urzędnicy emigracyjni, by ich przesłuchać. Zakwalifikowali wszystkich, ale odrzucili Jennego. Przeszłość tamtych, choć nieraz podejrzana, nie stanowiła przeszkody. Polaka natomiast nie przyjęli, chociaż chronił się przed stalinowską opresją.Wydał się wszechwładnemu urzędnikowi niebezpiecznym socjalistą. Musiał wracać do Szwecji już z synem urodzonym tymczasem w Irlandii, kóremu dano na imię Patryk. Jenne po czasie dostał wizę do Wenezueli. Był to jedyny kraj, który mu uchylił drzwi. W Caracas zaczęło się więc nowe dla niego życie, na świat przyszedł drugi syn, Karol. Jenne po różnych próbach otworzył zakład galwanizatorski w śródmieściu stolicy.

Bawiąc w 1979 roku w Caracas skorzystałem z przerwy między sesjami naukowymi odbywającemi się w gmachu Ministerstwa

Oświaty, poszedłem na ozdobionym konnym pomnikiem oswobodziciela kraju plac Bolivara. Na ten plac wychodziły okna warsztatu Jennego. W ciasnym lokalu na wysokim piętrze stały przyrządy obok słoików i basenów, w których elektroliza przenosiła złoto na zawieszone na przeciwnym biegunie przedmioty, spotkałem powtórnie, po nieomal trzydziestu latach, mężczyznę już o przyprószonych siwizną włosach ale rogatym nadal duchu. Pod telefonem wiszącym na ścianie stał niewielki stół a na nim stara maszyna do pisania, na której przez wiele lat wystukiwał swoje teksty pomimo odgłosu maszyn, dzwonka telefonu i nachodzenia klientów. Potrafił się skupić, odciąć od świata i robić swoje w najbardziej niesprzyjających okolicznościach. Pozbawiony naturalnego pola do działania, Jenne, człowiek akcji, całą swoją energię przelewał na papier. Zaczął pisać na serio już w Szwecji i szybko utorował sobie drogę do czasopism emigracyjnych jako zadziorny publicysta, poeta i pisarz.

W tomie wierszy „Smagły wiatr ” (1959) uwagę zwraca drukowany także w paryskiej „Kulturze” wiersz krytykujący warunki, w jakich znajdowali się ludzie myślący innymi kategoriami i nie akceptujący wytworzonej sytuacji. Tytuł innego wiersza „Nie pójdę do Canossy” mówi sam za siebie. Po zbiorze „Czarne poematy z dyliżansu” (1963) wydał prozę „Aspazja, on i ja” (1964), w której ironicznie polemizuje z Witoldem Gombrowiczem i Jerzym Giedroyciem. Do poezji powrócił w

„Erotykach” (1970), ale najsilniejszą jego pasją była ideologia.. W 1966 roku opublikował książeczkę „O ideowy profil emigracji” dedykowaną trzynastce młodych pisarzy londyńskiej grupy „Kontynenty” widząc w ich publikacjach zdrowy ferment i próby szukania wyjścia z krępującego partykularza.

Publikując książkę „Materia prima” w 1971 roku rozprawił się z marksizmem odmawiając mu warości naukowych. Jenne uważa się za prekursora takiego widzenia marksizmu, podzielanego obecnie przez wielu specjalistów. Na emigracji książkę przyjęto milczeniem. Jedynie Józef Mackiewicz poświęcił jej obszerny komentarz. Jenne zapowiedział kontynuowanie dyskusji, zgromadził wiele materiałów, celem zastanowienia się nad kierunkiem, jaki winna obrać lewica intelektualna, by wyjść z rozdroży, na których się znalazła. Wśród innych prac przygotował studium o Sołżenicynie zgłaszając pod jego adresem szereg zastrzeżeń,

Jenne nie stroni od kontrowersji i uważa, że tylko w ciągłym rewidowaniu naszych pojęć możemy mieć pewność, że kroczymy po właściwej drodze. Jego artykuły polemiczne pojawiały się na łamach „Kultury”, „Wiadomości”, „Kontynentów”, „Merkuriusza”, „Nowego Znaku” i innych emigracyjnych pism. Niemniej wespół z nieortodoksyjnymi publicystami po pewnym czasie z nich zniknął. Nieobecność tłumaczył brakiem wolnych trybun dla wypowiedzi innych niż obowiązujące i że brak

szerokiego wachlarza poglądów na sprawy publiczne był rezultatem polityki wydawców emigracyjnych. Dlatego, jego zdaniem, ucichło wielu ludzi twórczych. Mogli by się oni znowu pojawić i zaangażować, gdyby powstały nowe, niezależne pisma.

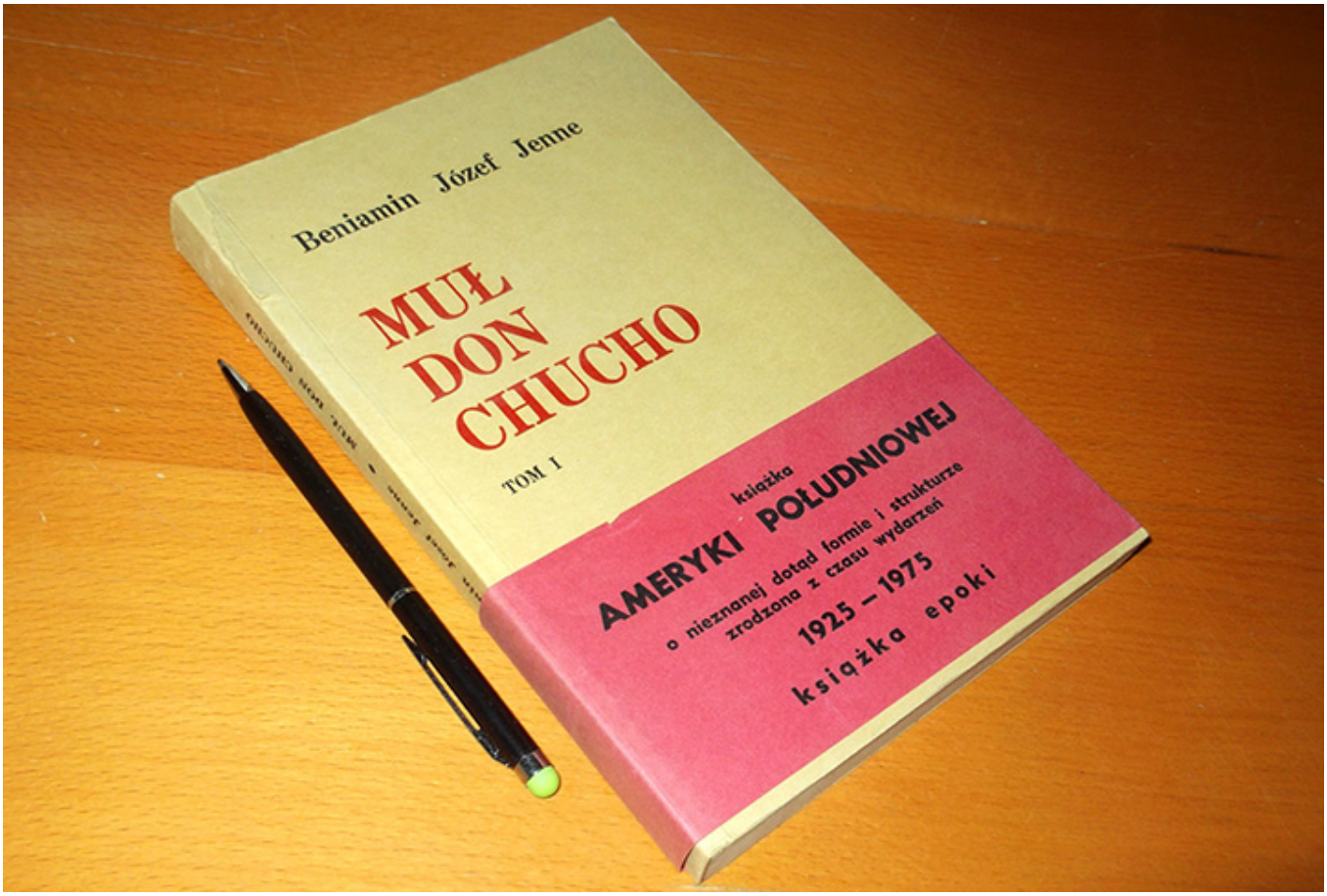

Przez wiele lat Jennego nurtowała myśl, by napisać monumentalną powieść. Chciał odejść od polskiej tematyki, wojennych przeżyć i martyrologii. Mimo trudności finansowych sprowadzał książki i prasę, by się otoczyć bogactwem źródeł. W godzinach po pracy pisał swoje dzieło. Tak powstał „Muł Don

Chucho”. W 1962 roku autor miał już pięćset stron powieści, następne lata spędził na szykowaniu do druku tysiąca stron maszynopisu. Po ukazaniu się fragmentu w tygodniku „Wiadomości” powieść wyszła w roku 1979 w dwu tomach w Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie finansowana przez autora.

Pragnął on w niej ukazać Wenezuelę, kraj, który go przyjął i pozwolił godnie rodzinie się urządzić. W powieści uchwycił lokalny koloryt egzotycznego kraju, warunki życia, wydarzenia kulturalne w przybranej ojczyźnie. Przede wszystkim jednak stworzył epopeję miasta Caracas. Jenne był świadkiem przemiany miasta z glinianego w żelbetonowo-szklane z wszelkimi tak szybkiego przeobrażenia konsekwencjami. Pokazał w książce panoramę pięćdziesięciu lat, od ostrej dyktatury lat dwudziestych, do zwycięstwa partii demokratycznej w 1973 roku, w której pokładał wielkie nadzieje. W powieści przewijają się politycy, wojskowi, urzędnicy, finansiści, inżynierowie i architekci, kupcy i robotnicy rolni, Indianie i Metysi a także cudzoziemcy, wśród których nie brak Polaków uczestniczących w wielkiej przygodzie przebudowy stolicy i społeczeństwa.

Doskonale wypadła egzotyka Wenezueli, spotkania z bykami, grzechotnikiem, pelikanami, krwiożerczymi rybami, kajmanem czy meduzą. Szczególnie zapisuje się w pamięci mocny epizod spędu bydła i powódź spowodowana wylewem rzeki Apure.

Również zmaganie się cywilizacji z barbarzyństwem, temat wielu znamiennych powieści z ubiegłego okresu literatury Ameryki Łacińskiej, znalazły u Jennego interesujący nowy aspekt. Postrzega on podmywanie całego swojego kontynentu przez komunizm. Autor zdaje się być katastrofistą: świat mu się chwieje, Stany Zjednoczone łaje za brak konsekwentnej linii postępowania, Watykan zdaje mu się flirtować niebezpiecznie z Moskwą.

Wiele wątków politycznych rozszyfrujemy bez trudu, inne wymagają klucza, zwłaszcza jeżeli nie zna się Wenezueli. Pobrzmiewa nuta antyinteligencka: profesorom i jajogłowym osobnikom raz po raz się dostaje, nie uchodzi krytyce Picasso czy Penderecki. Antykomunizm autora szkodzi całości stępiając efekt, gdyż czasem jego nieokiełznane wybuchy graniczą z absurdem, kiedy np. pomawia dysydentów o agenturalność. Poznańskie wypadki przypisał prowokacji, na której nie poznali się emigranci i Wolna Europa.

Spostrzec łatwo, że szereg jego postaci mówi i myśli tak jak autor, do tego tonem rezonerskim i moralizatorskim. Wprawdzie nie brak Jennemu zacięcia satyrycznego, ale komizmu w jego książce znajdziemy niewiele. Są natomiast fragmenty wypieszczone, jak choćby bardzo osobiste stronice poświęcone malarzom wenezuelskim, których płótna wiszą w Galerii Narodowej w Caracas. Forma książki, podział na eseje i szkice,

nie każdego przekona, bo niektóre eseje wydadzą się zbyt mało organiczne, a nadmiar wątków zaciemnia nurt powieściowy. Za sukces natomiast uważam wielowątkowe rozegranie sceny zabójstwa Juana, gdzie każdy wątek zazębia się o tę scenę i nie tylko wzbogaca incydent, ale także dynamizuje całą akcję.

Gorzkie uwagi kierowane są również do Polaków, kiedy mowa jest o megalomanii małych narodów obnoszących się bez końca ze swoją parą wybitnych ludzi. *Ex post* powie o mizernych rezultatach współpracy Polaków z Zachodem .

> W Warszawie będą Rosjanie i sojusznicy skwitują nas orderami i gażami dla kilku generałów. Tak się też wasza zabawa w zachodniość zakończy!

O twórczości polskich pisarzy emigracyjnych sarknie:

> Szesnastu emigracyjnych pisarzy pisze szkice o Mickiewiczu, sześciu o Norwidzie, trzech o Krasińskim, jeden o ewakuacji Funduszu Obrony Narodowej i tylko jeden pisze powieść o jeszcze na razie nieustalonym tytule.

W powieści rodacy wypadli trochę za dobrze. Są malowani i

szlachetni. Nawet Wenezuelka, Judyta, wychowana w Warszawie przez siostry urszulanki „wdzięk, kulturę i styl obejścia miała panien z kresowych, arystokratycznych dworów polskich". Zanotowałem ze zrozumieniem przedstawioną rozterkę emigranta, który nie zdołał oderwać się od ojczyzny, a nie stanie się częścią nowej, bo nie potrafi zaakceptować jej odmienności. Autor dopowie, że świat należy do niewrażliwych.

Odniosłem wrażenie, że powieść jest zbyt ambitna, próbująca brylować na zbyt wielu płaszczyznach, co przy pasji autora nie mogło wypaść bez zastrzeżeń. Wszystkiego w niej za dużo, za mało zdyscyplinowania. Oddech ma natomiast szeroki, bo pokusiła się, by dać epicki zapis rozwoju i przeobrażeń dalekiego kraju.

Powieść to niezwykła z zadatkami na bardzo dobrą. „Muł Don Chucho" (czytaj 'czuczo') to ogromna bryła kamienia, z której dałoby się wykuć idealniejszy kształt, to niepełne światło, bo przysłonięte skazą.

Wielki wysiłek autora, zarówno twórczy jak i materialny, nie znalazł stosownego uznania. Brak czytelnika na emigracji, a nieobecność książki w Polsce, stworzyły fatalną sytuację. Do tego autor poważnie zaniemógł. Czyż uratowanie marnującego się w Anglii nakładu nietuzinkowej książki jest rzeczą niemożliwą? Sądzę, że autor odstąpiłby cały zapas osobie czy instytucji,

chcącej i potrafiącej książkę przewieźć i rozprowadzić w Polsce. Może ktoś spróbuje?